

IN MEMORIAM

Profesor Andrzej Paczkowski (1938–2026)

Okolo czterystu publikacji naukowych, w tym ponad trzydzieści monograficznych książek autorskich, kilkadziesiąt edycji źródłowych, opracowań i redakcji prac zbiorowych (w tym drugoobiegowych), kilkanaście pozycji alpinistycznych, przewodników i albumów, artykuły w językach angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim, rosyjskim, rumuńskim... I ani jednego artykułu typu *in memoriam*. A raczej – jak chciałby Profesor, przywiązujący bardzo dużą wagę do badawczej ostrożności i unikający zbyt pośpiesznego formułowania jednoznacznych wniosków – nie udało się odnaleźć tekstu o takim charakterze w zrekonstruowanym zbiorze Jego twórczości. Mimo wszystko można chyba zaryzykować stwierdzenie, że pisanie słów „ku pamięci” nie należało do Jego ulubionych czynności.

Dlaczego? Wydaje się, że Andrzejowi Paczkowskiemu obce było koturnowe podejście do rzeczywistości. Raczej bez entuzjazmu (choć z typową dla siebie tolerancją) odbierał sztywne odgrywanie akademickich rytuałów, niechętnie skłaniał się ku pomnikowym charakterystykom zasłużonych postaci – a przecież wszystkie te elementy naturalną koleją rzeczy powinny się w tekście *in memoriam* znaleźć. Tkwi w tym ryzyko Gombrowiczowskiego „upupienia”. Być może Profesor podzielał też opinię piszącego te słowa, że narzucona konwenansem (poczuciem przyzwoitości?) poetyka „kupamięciowego” tekstu wymusza pewien autotematyzm, dzielenie się własnymi przeżyciami i relacjami z upamiętnianym. Łatwo tu ulec pokusie autopromocji i wykorzystania okazji do próby pomnożenia środowiskowego kapitału symbolicznego. Najpewniej dowodzą tego już tylko te słowa, ale też śledząc powstałe do tej pory – w prasie i mediach społecznościowych – liczne artykuły, notki i wpisy wspominające Profesora, nie sposób w niektórych (tylko niektórych!) przypadkach nie ulec wrażeniu, że ich autorzy poszli tym właśnie tropem, a podkreślanie swych związków ze zmarłym bywa niekiedy (tylko niekiedy!) tym wyraźniejsze, im związki te były mniejsze.

*

„Bardzo dobrze zapamiętałem uroczystości z okazji śmierci i pogrzebu Stalina w marcu 1953 r. – o ile to wspomnienie podświadomie nie nasiąkło późniejszymi obrazami. Miałem wtedy 14 lat, chodziłem do dziewiątej klasy. [...] Staliśmy, czekając

na odpowiedni moment do wejścia w główny nurt pochodu [...] przy ul. Brackiej, na rogu Al. Jerozolimskich. Organizatorzy rozdali stojącej tam młodzieży mnóstwo portretów Stalina osadzonych na kijach. [...] Robiło się już ciemno, kiedy wreszcie włączyliśmy się w pochód idący Al. Jerozolimskimi w stronę mostu Poniatowskiego. Nie było mrozu, ale padał śnieg – grube płaty opadały na ulicę. Wzdłuż ulicy rozmieszczono w pozycji poziomej reflektory przeciwlotnicze oświetlające tłum. Płaty śniegu wirowały wokół reflektorów, z głośników sączyły się żalobne dźwięki. [...] Śnieg sypał cały czas, na Wisłostradzie utworzyła się już cienka warstwa puchu. Utkwił mi w głowie (mam nadzieję, że tego nie zmyśliłem) niecodzienny widok: kilku chłopaków nagle opuściło portrety Stalina i utworzonymi w ten sposób szuflami zaczęło odgarniać śnieg. [...] Wkrótce na zaśnieżonym trawniku powstał stos porzuconych Stalinów. Więcej nie widziałem – mieszkalem na początku ul. Mickiewicza, więc szybko znalazłem się w domu. To dziwne, ale to jedyny pochód z tego szkolnego okresu, który zapamiętałem”.

Taka właśnie scena, opowiedziana przez prof. Paczkowskiego w naszej książce¹, pozwala zwrócić uwagę na kilka ciekawych rzeczy. Po pierwsze, cytat ten pokazuje bezpośredniość i uczciwość Profesora. Miałem okazję zapoznać się z tymi cechami w małym pokoiku na parterze w siedzibie Instytutu Nauk Politycznych PAN przy ul. Polnej w Warszawie, gdzie kilkunastokrotnie, łącznie przez ponad 20 godzin, cierpliwie dawał się „przesłuchiwać” na potrzeby pisanej (*pro*, a nie *in memoriam*) książki *Góry i teczki*. Profesor nie unikał anegdot, niekiedy wymierzonych w Niego samego, potrafił zakłąć, nie wpadał w pułapkę prowadzenia wykładu *ex cathedra* (do czego miałby pełne prawo), szukał w swych przeżyciach autentyczności, ludzi z krwi i kości, wydarzeń dużych i małych. Dostrzegał rolę przypadku w wielkiej polityce i indywidualnej biografii. Przyznawał, że czegoś nie wie lub nie pamięta. Dopuszczał możliwość, że zapamiętał coś źle; że mógł się mylić, nie uderzając przy tym w wygodne tony postmodernizującego relatywizowania przeszłości.

Po drugie, Profesor miał jednak niezwykłą wrażliwość na szczegół, wręcz z artystycznym wyczuciem wskazywał na atmosferę wydarzeń, sprowadzał koturnowe fakty do życiowego, zwykłego-niezwykłego doświadczenia. Szukał zawsze człowieka – i w historii, i we współczesności, i w rekonstrukcji pamięci. Z fascynacją uczestniczyłem w tym niezwykłym zapętleniu metanarracyjnym (Profesor pewnie skrzywiłby się na to określenie): zmaganiach zawodowego historyka, zmuszonego do obrania roli świadka historii, z rekonstruowaniem swojej własnej biografii i epoki, w której żył, w rozmowie z innym historykiem, reinterpreterującym (i w pewnym stopniu współtworzącym) to świadectwo ustne, które następnie uległo przepoczwarzeniu w spisana publikację naukową.

Po trzecie, cytat ten choć w ułamku sugeruje zjawisko, którego zilustrowanie wymagałoby prezentacji znacznie dłuższych fragmentów – doskonałej pamięci Profesora oraz fantastycznej świeżości (i znakomitej kondycji!) umysłu. A przecież spotykaliśmy się już w dziewiątej dekadzie Jego życia. Na początku praktycznie każdej rozmowy Profesor stwierdzał, że niewiele już pamięta, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia, po czym – ewentualnie zachęcony konkretnymi pytaniami – zaczynał mówić, coraz więcej i więcej. I ciekawiej. Z subtelnym nakreśleniem kontekstów. Z nieustanną czujnością, by unikać nadinterpretacji; by nie ulec pokusie

¹ P. Pleskot, *Góry i teczki. Opowieść człowieka umiarkowanego. Biografia mówiona Andrzeja Paczkowskiego*, Warszawa 2019, s. 55–56.

przeceniania własnej roli; by nie dać się porwać fantazji. Z uważnością na szczegóły, na drugiego człowieka.

To ostatnie było chyba najbardziej uderzające i robiło największe wrażenie. Być może dlatego, że tę postawę wobec przeszłości Profesor praktykował również współcześnie, w kontaktach interpersonalnych. Zwraca na to uwagę wiele tekstów i wpisów wspomnieniowych, jakie ukazały się po 3 stycznia 2026 r. Mogę je tylko z całym przekonaniem potwierdzić. Nie byłem bliskim znajomym Profesora, ani Jego magistrantem, ani doktorantem. Mimo to poświęcił mi mnóstwo czasu: nie tylko na nagrania, lecz także wstępne rozmowy, niezliczone konsultacje i dyskusje nad spisywanymi fragmentami i koncepcją naszej książki. Przy tym robił wszystko, by pokazać, że nie robi tego z przymusu, dla własnego interesu. Był naprawdę uważny i skupiony na rozmówcy. Choć nie uważał się za osobę wierzącą, skojarzenie z postawą chrześcijańską (a może po prostu humanistyczną) narzuca się samo. Wyczuwało się Jego życzliwość, paradoksalnie tym wyraźniejszą, im częściej pozwalał sobie na ciepłą ironię (to możliwe!), serdeczno-złośliwe komentarze (to również możliwe!) i swoistą nonszalancję zmieszaną z dystansem do siebie. A jednocześnie skracał dystans wobec rozmówcy.

Co jednak najbardziej zaskakujące, w zadziwiający sposób całe to zachowanie tylko zwiększało początkowy szacunek i podziw do Niego. Przy Profesorze chciało się pracować lepiej, sumienniej przygotować, uważniej dobierać słowa, ostrożniej ferować sądy. Może dlatego, że szybko odkrywało się głębsze pokłady Jego osobowości, schowane – przy pobieżnym spojrzeniu – za papierosowym dymem i żartobliwymi uwagami. Przede wszystkim niezwykłą pracowitość i sumiennność, mogącą zawstydzić osoby o połowę młodsze. Bardzo poważnie traktowaną etykę zawodową. Uczciwe stawianie wymagań – sobie i innym, skorelowane z przytomną oceną własnych dokonań i dorobku. A także – to może zabrzmiało zaskakująco dla tych, którzy znali Profesora z widzenia – pryncypialność. Ale bardzo specyficzną, rozumianą jako wytrwała determinacja w unikaniu uproszczeń intelektualnych, wpadania w światopoglądowe koleiny; w stronienu od stawiania bezpiecznych, a nie szczerych pytań i szukania wygodnych miast prawdziwych odpowiedzi. Postawę tę stosował zarówno w relacjach z innymi (o ile mogę to ocenić), jak i z całą pewnością w swojej twórczości naukowej. To on naciskał na to, by podtytuł naszej książki brzmiał „Żywoć człowieka umiarkowanego”; tym właśnie przymiotnikiem pragnął się określić.

Andrzej Paczkowski był człowiekiem ekumenicznym – w najlepszym i najbardziej laickim znaczeniu tego słowa. Doskonale pokazują to reakcje na Jego odejście: życzliwe wspomnienia publikowali ludzie prawicy, lewicy i środka, zantagonizowane media i grupy środowiskowe, historycy, alpiniści, intelektualiści, czytelnicy i uczniowie żyjący na co dzień w odrębnych, a nawet wrogich „plemionach”. Taka sytuacja zdarza się coraz rzadziej, a osobistości, które mają tak wielki potencjał integracyjny w wymiarze kultury politycznej i życia społecznego, jest coraz mniej. Również w tym kontekście śmierć Andrzeja Paczkowskiego boli szczególnie.

*

„Bardzo lubię moment odpoczynku i odprężenia po ukończeniu wspinaczki. Ma się wspaniałe poczucie osiągniętego celu, zrealizowanej «misji». Wtedy jakoś inaczej patrzy się na rzeczywistość. Przyznam, że uwielbiałem zapalić papierosa, stając na wierzchołku. Celebrowałem ten moment: spokojnie siadałem, powoli rozwiązywałem linę, wyciągałem z plecaka papierosa i zapalki. Z lubością się zaciągałem. Opadało

zdenierowanie, zmęczenie. Można było popatrzeć przed siebie, wydychając dym. Brało się kanapkę, popijało wodą z bańki. Nie ma nic lepszego”².

Profesor przyznawał, że był raczej kiepskim alpinistą. Tak po prawdzie, to rzeczywiście osiągnięcia naukowe znacznie przyćmiły wspinaczkowe. Do dziś jednak pamiętam wyraz Jego twarzy, kiedy dzielił się tymi słowami, już w końcowej fazie naszych nagrań. Chyba wtedy po raz pierwszy tak głęboko się rozmarzył i tak otwarcie ukazał wzruszenie.

Tak, potrafił z zapałem opowiadać również o pracy historyka, odkryciach badawczych, o radości z wertowania teczek archiwalnych (przy całym krytycyzmie do nich) – ale góry „siedziały” w nim chyba najgłębiej, przynajmniej wtedy, gdy rozmawialiśmy, jeszcze przed pandemią. Trudno mi jednak, jako zupełnemu laikowi, powiedzieć na ten temat cokolwiek więcej, prócz tego, że Profesor wręcz zarażał tą fascynacją. Mimo wszystko jeszcze większe wrażenie robiły na mnie trzy cechy Andrzeja Paczkowskiego jako naukowca i twórcy-historyka: wytrwałość, wszechstronność i umiejętność syntezy. Pozostawał aktywny naukowo do samego końca. Do ostatnich chwil, mimo coraz większych problemów zdrowotnych, czytał, recenzował, korespondował. Wybuchowa mieszanka talentu, predyspozycji, zainteresowań i okoliczności zewnętrznych (w tym szykan zawodowych i politycznych jeszcze z okresu PRL) sprawiła, że w swym długim naukowym życiu podejmował, i to dogłębnie, zdumiewającą wręcz w swej różnorodności paletę tematów: prasoznawstwo w międzywojniu, w czasie wojny i na emigracji, liczne syntezy historii politycznej Polski w XX w., biografistyka (Stanisław Mikołajczyk, Józef Światło), dzieje aparatu represji i komunistycznego systemu władzy, *intelligence studies*, badania nad opozycją, opracowania źródłowe do historii bloku wschodniego, transformacja ustrojowa, *transitional justice* i dekomunizacja... Każdy z tych obfitych obszarów badawczych sam jeden wystarczyłby do zapełnienia całego życia zawodowego. Przy tym mało kto wie, że w drobniejszych pracach Profesor zajmował się również metodologią historii i historią historiografii³ czy relacjami państwo–Kościół⁴.

Może jeszcze większe uznanie (z drobnym dodatkiem zazdrości) budzi fantastyczna umiejętność syntetyzowania, jaką posiadał Profesor. Nie chodzi tu o żonglowanie efektywnymi i apriorycznymi ogólnikami, tylko o wykute podczas solidnej – raz żmudnej, raz fascynującej – pracy na źródłach syntetyczne wnioski i analizy, łączące klarowność z głębokością, trafność z uniwersalnością, przy jednoczesnym szacunku dla niuansów i z dużą dawką konkretności. Budzą respekt nie z racji metodologicznych fajerwerków, skomplikowanej terminologii albo podkreślanej sztucznie kontrowersyjności czy radykalności. Tak, są błyskotliwe, ale wynika to wyłącznie z talentu autora i Jego pasji w dążeniu do wyszarpania z przeszłości tyle prawdy, ile tylko się da.

Co więcej, ta pasja wciąż inspiruje kolejne pokolenia badaczy i nowe badania. Mogłem się o tym przekonać, szukając w twórczości Profesora inspiracji w ramach

² Ibidem, s. 326.

³ A. Paczkowski, *Historyk dziejów najnowszych wśród źródeł*, w: *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*, red. E. Domańska et al., Kraków 2014, s. 89–98; idem, *Otwarcie archiwów. Konsekwencje dla polskiej historiografii*, w: *Polska – Niemcy – Europa. Księga jubileuszowa z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin profesora Jerzego Holzera*, red. W. Jarzabek, E.C. Król, P. Madajczyk, Warszawa 2000, s. 421–431.

⁴ A. Paczkowski, *Aresztowanie ks. Zygmunta Kaczyńskiego*, „Więź” 1991, nr 4 s. 109–114; idem, „Izolacja” Prymasa Wyszyńskiego, „Zeszyty Historyczne” 1991, z. 97, s. 205–220.

bieżącego projektu badawczego: analizy prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego. Tezy Paczkowskiego okazały się kluczowe do analizy mentalności i ewolucji postrzegania rzeczywistości polityczno-społeczno-gospodarczej u schyłku lat osiemdziesiątych w otoczeniu generała. Paczkowski w tym kontekście pisał o „częściowej amputacji na «doktrynie Breżniewa»”, w efekcie której „nie później niż w latach 1987–1988 dawna presja Moskwy na Warszawę ustąpiła, zastąpiona przez daleko idącą zgodność intencji i działań” między Jaruzelskim a Gorbaczowem. W efekcie „w ekipie gen. Jaruzelskiego, a zapewne także wśród wielu analityków moskiewskich, uznawano już, iż warunkiem stabilizacji jest przeprowadzenie zmian”⁵. Świadomość ta doprowadziła z kolei polski obóz partyjno-rządowy do stworzenia planu transferu władzy do urzędu prezydenta PRL. „Paradoksem i chyba osobistym nieszczęściem Jaruzelskiego – podsumowuje Paczkowski – stało się to, iż struktura jego osobistej władzy [...] została definitywnie sformułowana dopiero w 1989 r. w poprawce do konstytucji, która wprowadzała urząd prezydenta PRL o ogromnych uprawnieniach. Okoliczności towarzyszące awansowi sprawiły jednak, że nie zdołał on z możliwości tych skorzystać”⁶.

To oczywiście tylko niewielka próbka argumentacji Profesora. Istotne jest to, że w kilku zdaniach potrafił opisać – bez uproszczeń – to, na co inni (w tym piszący te słowa) potrzebują dziesiątek stron. Nie chodzi tu tylko o talent, lecz także o postawę badawczą. Andrzej Paczkowski nie szukał bowiem w swej twórczości potwierdzenia własnych poglądów. On szczerze chciał się czegoś dowiedzieć i coś zrozumieć – na tyle, na ile to jest możliwe. Takiego podejścia życzyć każdemu naukowcowi.

*

Jak widać, we wspomnieniu o Andrzeju Paczkowskim udało mi się zawrzeć szczyptę złośliwości i (auto)ironii – może nie w jakości premium – a do tego góry, teczki i papierosy. Odważę się na stwierdzenie, że Profesor byłby z tego zadowolony. Umiarkowanie.

Patryk Pleskot
Warszawa

⁵ A. Paczkowski, *Polska 1986–1989: od kooptacji do negocjacji. Kilka uwag o wchodzeniu w proces zmiany systemowej*, Warszawa 1999, s. 160, 197.

⁶ *Ostatnia dekada PZPR. Zapis dyskusji z udziałem Antoniego Dudka, Jerzego Eislera, Andrzeja Paczkowskiego, Marcina Zaremby i Michała Siedziako (prowadzenie)*, w: *Kryzys w partii – partia w kryzysie. Ostatnia dekada PZPR*, red. T. Kozłowski, M. Siedziako, Warszawa 2023, s. 422.